ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 1 **CHOJNICE, dnia 26-go czerwca 1924 r.** **Nr. 13**

Kochaj bliźniego.

Kochaj! tak zbawca świata ci nakazał,
Jego rozkazom któż się oprzeć zdoła?
Kochaj! tak do cię z krzyża swego woła,
Byś winy serca sercem swojem zmazał.
Kochaj! lecz kogo? Ach! o to nie pytaj!
Chrystus wyjątku nie czyni żadnego.
Weź Ewangelję i otwórz a czytaj:
Kochaj bliźniego jak siebie samego.
A któż jest bliźnim? Ten co z głębi duszy
Z tobą zawoła: Ojcze! coś jest w niebie,
I ten, co krwawe łzy twoje osuszy,
Co ci aniołem w każdej jest potrzebie.
A któż jest bliźnim? Każdy, który z tobą
Krzyżową drogą do nieba pośpieszy,
Dla kogo ciernie są życia ozdobą,
Bo z tobą płacze i z tobą się cieszy.
A któż jest bliźnim? Ten, który dla ciebie,
Jakby ze skały serce ma wykute,
Co cię w bolesnej opuszcza potrzebie
Niosąc w swem sercu pociski zatrute.
Gdy mu odpuścisz dla miłości Boga,
I za złe dobrem hojnie się odpłacisz;
Wtenczas zwyciężysz i siebie i wroga,
Zasługą krzyża duszę swą zbogacisz.

Twardowski.

(Dokończenie.)

Pani Twardowska na rynku Krakowa ulepiła z gliny domek; w nim sprzedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona ze złości wyklinała w pień co żyje, on siedząc w pięknej kolasie, śmiał się szczerze i wesoło.

Złota miał zawsze by piasku; bo co chciał, to djabeł znosił. Kiedy długo dokazuje, raz był zaszedł w bór ciemnisty, bez narzędzi czarnoksięskich Zaczął dumać zamyślony; nagle napada go djabeł i żąda, aby niezwłocznie udał się prosto do Rzymu.

Rozgniewany czarnoksiężnik, mocą swojego zaklęcia, zmusił biesa do ucieczki: zgrzytając kłami ze złości, wyrywa sosnę z korzeniem i tak silnie Twardowskiego uderza po obu nogach, że jedną zgruchotał cale. Od onej doby był kulawy i zwany odtąd powszechnie kuternogą.

W ostatku sprzykrzywszy sobie zły duch, czekając dość długo na duszę czarnoksiężnika, przybiera postać dworzana i jako biegłego lekarza zaprasza niby do swojego pana, że potrzebuje pomocy. Twardowski za posłańcem spieszy do poblizkiej wioski, nie wiedząc, że w niej się gospoda nazywała Rzymem.

Skoro tylko próg przestąpił onego mieszkania, mnóstwo kruków, sów, puhaczy, osiadło dach cały i wrzaskliwemi głosy napełniło powietrze. Twardowski od razu poznał, co go może tutaj spotkać: więc z kołyski dziecię małe dopiero ochrzcone, porywa drżące na ręce, zaczyna piastować, gdy w własnej postaci wpada djabeł do izby.

Chociaż był pięknie ubrany — miał kapelusz trójgraniasty, frak niemiecki, z długą na brzuch kamizelką, spodnie krótkie i obcisłe, a trzewiki ze sprzączkami i wstążkami, — wszyscy go zaraz poznali; bo wyglądały rogi z pod kapelusza, pazury z trzewika i harcap z tyłu.

Już chciał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł wielką przeszkodę, bo małe dziecię na ręku, do którego nie miał prawa. Ale bies wnet znalazł sposób; przystąpił do czarownika i rzecze:

Jesteś dobry szlachcic: zatem „verbum nobile, debet esse stabile."

Twardowski widząc, że nie może złamać szlacheckiego słowa, złożył w kołyskę dziecię, a wraz ze swym towarzyszem wylecieli wprost kominem.

Zawrzasło radośnie stado sów, wron, kruków i puhaczy. Lecą wyżej, coraz wyżej. Twardowski nie stracił ducha; spojrzy na dół — widzi ziemię; a tak wysoko poleciał, że wsie widzi takie małe, jakby komary, miasta duże jakby muchy, a sam Kraków by dwa pająki razem.

Żal mu szczery serce ścisnął: tam zostawiał wszystko drogie, co polubił i ukochał; a więc podleciawszy wyżej, gdzie ni sęp ni orzeł karpat, skrzydłem wiatru nieporuszył; gdzie zaledwo okiem sięgnął, z zmordowanej piersi silnie dobędzie ostatku głosu i zanuci pieśń nabożną.

Była to jedna z kantyczek, które dawniej w swej młodości, kiedy nie znał żadnych czarów, duszę jeszcze miał niewinną, ułożył na cześć Marji i śpiewał zawsze codziennie.

Głos jego niknie w powietrzu, choć śpiewa z serca serdecznie; ale pasterze górale, co pod nim na górach paśli, zdziwieni podnieśli głowy, chcąc wiedzieć, skąd pieśń nabożna słowa im z chmurą przynosi. Głos jego bowiem nie poszedł w górę, ale przyległ do tej ziemi, by zbudował ludzkie dusze.

Skończył pieśń całą: zdziwiony wielce patrzy, że w górę nie leci wyżej, że zawisł w miejscu. Spojrzy do koła — już towarzysza swojej podróży nie widzi; głos jeno mocny nad sobą słyszy, co zagrzmiał w sinawej chmurze.

„Zostaniesz do dnia sądnego, zawieszony tak jak teraz!"

Jak zawisł w miejscu, dotychczas buja; a choć mu słowa w ustach zamarły, choć głosu jego nikt

nie dosłyszy, starcy, co dawne pamiętają czasy, gdy miesiąc w pełni zabłyśnie przed niewielu jeszcze laty, wskazywali czarną plamkę, jako ciało Twardowskiego, zawieszone do dnia sądu.

Dzieci nie wstydźcie się ubóstwa.

Ojcowie zakonu Redemptorystów odprawiali w roku 1885 misje w Anglji. W pewnej okolicy przygotowali także kilkadziesiąt dzieci katolickich do pierwszej komunji świętej.

Katolicy w tamtych stronach są bardzo biedni; niektóre dzieci przychodziły na naukę boso i w biednych szatach.

Ksiądz misjonarz zobaczył, że niektóre z nich się wstydziły swego ubóstwa i czasem wcale na naukę nie przyszły. Razu jednego zaczął o tem mówić do dzieci i rzekł: „Czegóż się to wstydzicie? Spojrzyjcie tylko na P. Jezusa, jakiż to On był ubogi! Nieraz pewnie chodził boso, jak wy. Pan Jezus kocha szczególnie takie dzieci, które co do ubóstwa są mu podobne. Nie wstydźcie się przeto i przychodźcie pilnie na naukę.

Odtąd dzieci biedne już się nie wstydziły i przychodziły regularnie.

Nakoniec nadszedł dzień, w którym miały przystąpić do komunji świętej. Większa część dzieci przyszła i wtedy boso, bo ich rodzice dla ubóstwa nie mogli im trzewików kupić.

I cóż się stało?

Kiedy ksiądz miał rozpocząć komunikowanie, wszystkie dzieci, które obuwie miały, zebuły je i przystąpiły boso do Stołu Pańskiego. Gdy się ich potem spytano, dla czego to uczyniły, odpowiedziały: „Dla tego, aby się inne dzieci nie potrzebowały wstydzić, że obuwia nie mają i dla tego, ponieważ P. Jezus szczególnie takie dzieci kocha, które co do ubóstwa są mu podobne.“

W całym kościele nie było jednego człowieka, któryby się nie rozpłakał nad tym pięknym postępkiem dzieci.

I wy nasze polskie dzieci biedne, nie wstydźcie się waszego ubóstwa! Tak ubogo, bez butów, nie przystąpiło pewnie żadne z was do Stołu Pańskiego, bo rodzice wasi od ust sobie odjęli, aby was ochędożnie posłać do kościoła. Ale to sobie pamiętajcie, że choćbyście nawet boso były, byle dusza wasza piękna, byle serce czyste a pełne miłości Jezusa, to już dobrze z wami. Nie dla zewnętrznej parady, ale dla dobra duszy waszej, przyjęłyście P. Jezusa. Nie podług tego was kiedyś P. Bóg sądzić będzie, jakieście szaty miały w tym dniu, lecz podług tego, czyście się dobrze wyspowiadały z grzechów i czyście z nabożeństwem i godnie P. Jezusa przyjęły. Nie smućcie się, że inne dzieci miały piękniejsze ubranie od was, nie zazdroście im, nie płaczcie. Pan Jezus patrzy na serce i duszę, a więc starajcie się, aby wasze serce i dusza były piękne, wtedy możecie być prawdziwie szczęśliwe i wesołe i spokojne, choć jesteście ubogie.

Książę i pasterz.

Przed kilku laty kupił pewien książę w Galicji od wieśniaka krowę, którą w przejeździe przez sąsiednią wieś spostrzegł, a która mu się bardzo podobała i polecił wieśniakowi, aby mu ją na drugi dzień przyprowadził.

W dniu oznaczonym wysłał ów wieśniak pasterza z krową do zamku. W drodze przez park przylegający do zamku, krowa się uparła i ani rusz z miejsca. Widząc to tędy przechodzący książę, chciał chłopcu uganiającemu się z krową zejść z drogi. Chłopiec zaś spostrzegłszy w niedalekiem oddaleniu człowieka, którego woła: „Hola! bracie! chodź i pomóż mi, bo widzisz, że sobie rady dać nie mogę“.

Książę poznawszy, że ów chłopiec nie wie do kogo się w ten sposób odzywa, postanowił zażartować z niego. Niedawszy się też poznać, pomagał chłopcu ile mógł. „Zmęczyłeś się chłopcze nie lada“, rzecze książę. „Co myślisz, ile za to ci tam we dworze dadzą?“ pyta chłopca.

„Nie wiem“, rzecze chłopiec „ale mi się zdaje, że coś dostanę, bo to pono poczciwy i szczery ten nasz Książę.“

Blizko pałacu spiesznie oddalił się książę i bocznemi drogami pobiegł do zamku. Dał jednemu ze sług 10 marek i polecił dać je chłopcu, który tu zaraz krowę przyprowadzi. Sam zaś wyszedł do parku i oczekiwał chłopca. Nie długo na niego czekał. Wyszedłszy ze zarośla zbliżył się do chłopca i pyta: „Cóż ci dali we dworze?“ — „Dziesięć fenigów“, odpowiada chłopiec. „To nie podobna, czy na prawdę tyle tylko ci dali?“ pyta książę. „Tak, a to nie dosyć“, rzecze chłopiec, a wydobywszy dane mu pieniądze z kieszeni daje z nich księciu pięć fenigów za pomoc.

Książę zabrał pieniądze, lecz niedowierza chłopcu i pyta po raz drugi, czy to prawda, że tylko mu tyle dano.

„Tak, możesz mi wierzyć, że ani fenyga nie dostałem więcej,“ twierdzi dobroczynny chłopiec. „To musi być omyłka,“ rzekł książę: „Ja znam księcia i wiem, że gdybyś się chciał zemną wrócić, to ja z nim pomówię, a on z pewnością da ci więcej.“

Chłopiec usłuchał rady i oboje wrócili do zamku. — Książę zadzwonił i rozkazał zebrać się wszystkim lokajom.

„Teraz mi powiedz mój chłopcze,“ odezwał się książę, „który z nich dał ci dziesięć fenygów?“ „Ten w tym białem fartuchu,“ odpowiada chłopiec, palcem wskazując na jednego ze stojących.

Winowajca przyznał się do winy. Padł przed księciem na kolana i prosił o przebaczenie. Lecz książę rozkazał mu oddać chłopcu owe 10 marek, a jemu samemu natychmiast z pałacu się wynosić.

„Łakomstwo twoje“ rzecze książę, „pozbawiło cię miejsca i splamiło twój honor. Pamiętaj, że rzetelność i sumienność w wykonywaniu rozkazów przełożonych jest ozdobą każdego człowieka.“

Zawstydzony chłopiec poznawszy w pomocniku samego Księcia, nie śmiał na niego ócz podnieść. Księciu zaś podobała się prawdomówność i rzetelność chłopca. „Wziął go do siebie, kazał kształcić i zrobił z niego uczciwego człowieka.

Pamiętajcie dziatki zawsze mówić prawdę, gdyż prawdą najdalej się zajdzie.

Wieczór.

Nadchodzi wieczór; z każdą chwileczką,
Coraz się niżej spuszcza słoneczko
W końcu, jak do snu dążące dziecię,
Półsennym wzrokiem patrzy po świecie,
To się uśmiechnie słodko a mile,
T się zasępi niby na chwilę,
Przymyka oczy coraz to dłużej,
Wreszcie powieki senne zamruży.
Szarzeć zaczyna, kończy się praca,
Do swoich siedlisk wszystko powraca.
Ptaszek do gniazda, do domów ludzie,
By się pożywić, spocząć po trudzie.
Wreszcie świat cały, w zgodnym chorale,
Śle pieśń wieczorną ku Bożej chwale.